Tom XIV. Nr. 11.
11. kwietnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1830.

II. Noc 29. listopada.

Jak wam już zeszłym razem opowiedzieliśmy, wyznaczono na wybuch powstania noc z dnia 29. na 30. listopada. Otóż zaraz 29. listopada wieczorem, w dzień świętego Saturnina, przygotowali się podchorążowie i wojsko, i inni nie wojskowi ludzie do czynu. Za znak do powstania zapalono stary browar za miastem. Skoro łuna zapalonego browaru zaświeciła na niebie, zebrali się spiskowi Polacy. Zaczynać mieli młodzi, bo to we młodych krew żywiej pędzi i duch jest zawsze gorętszy.

Ułożono sobie tak, aby zaraz napaść na pałac Wielkiego księcia Konstantego, tego tyrana carskiego. Pałac ten zwał się Belweder. Otóż na ten belweder wybrało się ośmnastu młodych chłopców samych zuchów nad zuchy, coby za wolność i ojczyznę poszli by byli na śmierć przez ogień i wodę!

Na czele tych ośmnastu dzielnych młodzieńcow byli dwaj żyjący jeszcze teraz sławni Polacy Ludwik Nabielak i Seweryn Goszczyński. W szkole podchorążych dano im karabiny, a

sama też cała szkoła uzbroiła się także i wystąpiła z swych koszar. Nabielak i Goszczyński wzięli swoich chłopców i dalej z nimi na zamek moskiewskiego księcia, na Belweder. Rozdzielili się na dwie równe części, jedna połowa zaszła tył zamku od ogrodu, druga, co najlepsi i najodważniejsi, mieli wejść od przodu.

Gdy ci powstańcy, którzy mieli napaść na dwór Wielkiego księcia, jak na wilka w jamie, od przodu, przyszli już do bramy, wbiegli szybko na dziedziniec wezwawszy Pannę Najświętszą do pomocy, zawołali gromkim głosem, aż się mury odezwały:

— Śmierć tyranowi! Śmierć tyranowi!

Na dziedzińcu było kilka Moskali z służby Wielkiego księcia i ci ujrzawszy szturmujących powstańców, co mogli, uciekali, a wtedy powstańcy przypadłszy do drzwi pałacu, poczęli bić kolbami od karabinów w drzwi, powytłukiwali szyby — i porozbijawszy tak wszystko, wpadli drzwiami i oknami do pałacu.

Kiedy powstańcy wpadli już do środka, spodziewali się na pewno, że znajdą tu opór, i że się będą musieli bić z domownikami Wielkiego księcia, ale gdzie tam! pochowało się to niedołęztwo po wszystkich dziurach, pouciekało na wszystkie strony w okrutnym strachu!

Powstańcy wpadają do pokojów, cicho wszędzie i pusto! Wpadają na górę, wyłamują drzwi jedne po drugich, idą z jednego pokoju do drugiego, czynią hałas, rozbijają i tłuką sprzęty wszystkie — lecz nie widać ani Wielkiego księcia, ani żadnej innej żywej duszy.

Nareszcie w jednym pokoju za drzwiami widzą ukrytego jakiegoś człowieka. Był to nędznik i zausznik Wielkiego księcia, szpieg moskiewski, nazwiskiem Lubowidzki. Przyszedł on był niecnota w nocy do Wielkiego księcia, aby go o całem powstaniu uwiadomić i przestrzedz, bo już o wszystkiem się dowiedział. Ale za późno się zdrajca wybrał, bo powstańcy w samą porę wpadli. Zaraz się kilku rzuciło na tego Lubowidzkiego, pchnęli go bagnetami, i padł zdrajca w swojej własnej krwi na ziemi. Tak to zawsze bywa zdrajcom!

Kiedy się powstańcy już uprzątnęli z tym Lubowidzkim, szukali dalej po pokojach za samym Wielkim księciem Konstantym, ale go nigdzie znaleźć nie mogli.

Ciekawiście pewno, gdzie się Moskalisko tak prędko skryło przed polskimi zuchami?... Otóż widzicie, tak się rzecz miała.

Kiedy Polacy wpadli do pałacu, Konstanty spał już jak zabity. Gdy na podwórzu powstańcy krzyknęli „Śmierć tyranom!“ — kamerdyner jego budzi go coprędzej. Ale Wielki książe zaspał się był okrutnie, ledwie go się dotrząsł i dobudził z wielką biedą sługa. Zastraszył się Moskal, aż przytomność stracił i co począć nie wiedział, aż go ów sługa popchnął do pokoju jego żony.

Tu upadł Wielki książe na kolana od wielkiego strachu i chował się po za baby w okrutnej trwodze — i tak baby go obstąpiły do koła, i zaczęły klepać pacierze, a sam Wielki książe mało ducha nie oddał z bojażni, trząsł się jeno jak osika a blady był jak trup.

Szczęście to jego było, że się ukrył pomiędzy baby — bo powstańcy do babskich pokojów nie szli, jeno splądrowali i przeszukali wszystkie inne pokoje a nie znalazłszy nigdzie Wielkiego księcia Konstantego wypadli znowu na podwórze, aby wracać do swoich. Na podwórzu nawinął się im pod rękę jeden jenerał moskiewski, co był przy boku Konstantego, znany łotr i wielki nikczemnik, i zaraz go tam bagnetem na drugi świat wyprawiono.

Sprawiwszy się tak biegli powstańcy do miasta, a tu już słyszą strzelanie wielkie, jakby w bitwie.

Podczas gdy tych ośmnastu zuchów spłoszyło Wielkiego księcia z pościeli — nie próżnowali podchorążowie. Wysocki wpadł między podchorążych, właśnie kiedy się uczyli i zawołał:

— Polacy godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy albo zginiemy!

Natychmiast zawołali młodzieńcy:

— Do broni! Do broni! — i rzucili się do karabinów, ponabijali, zeskoczyli na dół i tu stanęli w szyku wojennym

Wszystkich ich było stu sześćdziesięciu i kilku, ale każdy z nich wart był stu, bo każdy znał komendę jak jenerał a

dzielnie się bił jak lew. Nie było wówczas wojska na całym świecie, któreby lepiej się biło i celniej strzelało, jak ci młodzi chłopcy.

Gdy się tak zebrali podchorążowie, hejże dalej na Moskali! A stało w Warszawie dużo wojska moskiewskiego. Najpierw tedy ruszyli podchorążowie na kasarnię jazdy nieprzyjacielskiej, to jest ułanów moskiewskich. Nie pytając wiele skoczyli oni do środka koszar, a gdy ułani moskiewscy do siedli koni i chcieli się bronić, wtedy Polacy jak dali ognia, tak Moskale w strach okrutny i w nogi na cztery wiatry, myśląc, że jakich kilka tysięcy na nich napadą, bo noc był bardzo ciemna.

Ale naraz zebrała się okrutna ćma Moskalów, huzarów i kirasyerów i ci zobaczywszy, że tych podchorążych jest tylko sto kilkudziesięciu, nabrali odwagi i otoczyli ich do koła. Ale dzielni podchorążowie nie zastraszyli się, choć jeden miał z dziesięcią Moskalami do czynienia. Poczęli strzelać, a gdy im już prochu zabrakło, rzucili się z bagnetami na Moskali i w moment ich rozbili. Trzy razy Moskale, którzy dziesięć razy byli silniejsi, zachodzili drogę podchorążym, ale za każdym razem uciekać musieli. I tak garstka Polaków tysiące Moskali rozbiła!

Niebawem też i wojsko polskie wyruszyło na Moskali, dzielni wojacy poczęli się gromadzić i rozpędzać wojsko moskiewskie. Lud warszawski słysząc strzały i gwałt w mieście zgromadził się w okrutnej mnogości, mieszczanie, rzemieślnicy, kto żył, wyruszył na miasto. Rozbito arsenał, gdzie była broń, powyciągano działa, bito się walecznie na wszystkich stronach. Moskale stracili ducha, Wielki książe, który wygramolił się z pomiędzy bab i wraz z Moskalami na konia wsiadł, nie widział już ratunku, wyniósł się z Warszawy, i pod miastem w lichej karczmie się dopiero zatrzymał. Warszawa była już wolną, Polacy górą, jak to mówi o tem stara spiewka:

W dzień świętego Saturnina,
W Warszawie wieczorem,
Wypędzono Moskwicina,
Z całym jego dworem.

Uciekł Konstanty
A z nim cała zgraja
Naród krzyknął w wesołości,
Nie ma Mikołaja!

Bo trzeba wam wiedzieć, że wówczas rządził już car Mikołaj, człowiek srogi i okrutny nie tylko dla Polaków ale i dla swoich.

Tak to młodzi podchorążowie i wojsko polskie sprawili się dzielnie, i wyswobodzili tej pamiętnej nocy Warszawę z rąk moskiewskich.

A padło tej nocy trupem także dużo Polaków zdrajców, co z Moskalami trzymali! Ośmiu jenerałów, jeden moskiewski a siedmiu polskich, co zaparli się ojczyzny i ratować jej nie chcieli, ale z Moskalami trzymali, padło pod kulami polskiemi tej nocy! Zawsze zdrada prędzej czy później karę odbiera!

Tak minęła noc 29. listopada. Jakie dalej nastąpiły wypadki, o tem będzie na drugi raz.

Pożegnanie ułana.

Kto z bogiem, to Bóg z nim.

Panna młoda, jak jagoda
Stojąc we drzwiach płacze:
— Kiedyż ja cię
W naszej chacie
Tu znowu obaczę?

Przed dziewczyną przed maliną,
Stoi chłopak zbrojny,
A koń wrony,
Kulbaczony,
Rwie się niespokojny,

Ciężka droga, bo na wroga —
Nie rwij się koniku!
W krwawem polu,
W srogim bolu
Legnie was bez liku!

— Idź gdzie trzeba, niech cię nieba
Niech cię Bóg prowadzi!
Lecz ten krzyżyk
I szkaplerzyk
W boju nie zawadzi!

— Za wygraną, zmów co rano
Trzy Zdrowaś i Wierzę:
Kto pobożny
I ostrożny,
Tego i Bóg strzeże!

Rzekła płacze — wrona kracze
A to znak złowrogi:
Nie pomoże
Święty Boże,
Kraj nad wszystko drogi!

Przyjął krzyżyk i szkaplerzyk
Westchnął, dosiadł konia,
Skinął głową:
— Bądź mi zdrową!
I ruszył wzdłuż błonia.

Ale prędzej z szarej przędzy,
Srebrna nić wypłynie,
Niż we swaty,
Do jej chaty
Staś kiedy zawinie!

Wincenty Pol.

Historya o Bartku leniwym gospodarzu

spisana przez jednego ś. p. „Przyjaciela Pracy.“

I.

Gawęda Bartka z młynarzem przed chałupą.

Młynarz: Cóż porabiacie Bartłomieju, zdrowiście dobrze?

Bartek: Oj, tak tam, za wolą boską.

Młynarz: Wygrzewacie się przed chałupą jak widzę — nie macie co robić, zasialiście to już?

Bartek: Ej, gdzie tam zasiałem, czemże miałem zasiać, kiedy nie mam ziarna.

Młynarz: To kupcie, a zasiejcie, bo pocóż rola ma próżnować, albo też sprzedajcie pola na trzy lata, to weźmiecie coś grosza.

Bartek: Jużciby tak trzeba zrobić i sprzedać, ale człowiek nie ma czasu za tem chodzić; gdybyście wy chcieli kupić, tobym wam spuścił stajanko.

Młynarz: Dla czego nie, kupię, choćby i dwa, tobyście mogli resztę obsiać dla siebie.

Bartek: Przecie słyszeliście, że ziarna nie mam.

Młynarz: Jak od was najmę rolę, to będziecie mieli.

Bartek: A wystarczy to na siew? przecie trzeba przódy kupić żyta, choćby z pół korca na chleb.

Młynarz: Na chleb zarobicie sobie we dworze, bo tam jest zawsze zarobek.

Bartek: A juściby się przydało zarobić, żeby dobrze zapłacili.

Młynarz: Przecież tam nie źle płacą, bo dają po 30 grajcarów na dzień.

Bartek: Ej to mało, cóż to dziś znaczy 30 grajcarów?

Młynarz: A płacą to gdzie więcej?

Bartek: Pod Tarnowem dają i po 50 grajcarów.

Młynarz: To idźcie pod Tarnów i zaróbcie sobie na chleb.

Bartek: Ej, kiedy daleko.

Młynarz: To się najmijcie do stawiarki, płacą po 20 grajcarów od sążnia.

Bartek: Ej, kiedy to mało, a robota ciężka ziemię do góry taczać.

Młynarz: Ba, toć lada chłop może sześć sążni wywieźć, a reński na dzień, nie zły zarobek.

Bartek: Ej kiedy mało 20 grajcarów od sążnia, może dadzą więcej, zobaczę później.

Młynarz: Nie gadajcie próżno Bartłomieju, bo to zapłata dobra, a macie ją w domu.

Bartek: Robota ciężka i trzeba krzyżów nazginać, a teraz choć przymrę głodu, to się nie narobię. Żeby gdzie była lżejsza robota, tobym poszedł.

Młynarz: To idźcie dach pobijać na stodołach, płacą 5 grajcarów od kopy, możecie z 15 kóp wybić na dzień.

Bartek: Ej, kiedy nie obstoi bić po 5 grajcarów.

Młynarz: Nie bajcie gospodarzu, bo obstoicie i dobrze, możecie reński wziąć na dzień.

Bartek: Mocny Boże, a cóż to znaczy reński na dzień. Człowiek nie wie co za to kupić, czy chleba, czy soli, czy przyodziewek. Na nic to, mój młynarzu, na nic, człowiek się tylko naturbuje bez pożytku.

Młynarz: A i cóż wy będziecie robić jak nie zasiejecie, z czegóż będziecie żyli?

Bartek: Trzeba będzie jako kręcić, choćby i sprzedać z pół chałupy, możebyście wy kupili, żebyście zaraz dali pieniądze, tobym taniej spuścił.

Młynarz: A gdzież pójdziecie z dziećmi, jak sprzedacie chałupę?

Bartek: Na zimę zostawię sobie izbę, a potem możeby się reszta sprzedała: poszedłbym w służbę.

Młynarz: A dzieci?

Bartek: Co starsze toby poszły do sąsiadów paść bydło, a młodsze toby sobie po wsi uprosiły.

Młynarz: Oj źle! grzech marnować tyle pola i grunt i łąkę, a jeno przez to, że wam się robić nie chce.

Bartek: Gdzie tam nie chce, albo ja się to mało napracował za nieboszczyka ojca? Trza było rano wstać, dać koniom jeść; potem zjadło się co i dalej do lasu, przywiozło się tam pniaczek, albo trochę gałęzi i znowu trzeba było jeść, a potem jedż znowu do lasu, albo rób w gruncie. I tak co dzień od rana do nocy. A później jak nieboszczyk tatuś umarł, tom się ożenił, a wziąłem za babą tylko siedm morgów pola, dwie krowy, jałówkę i trzy nitki korali. Nie miałem się też z początku czem ratować, więc sprzedałem najprzód krowę, potem drugą, wreszcie i jałówkę. Zastawiłem też korale i przepadły.

Młynarz: Boście ich nie wykupili.

Bartek: A było to za co, sprzedałem i konia i kobyłę, ano i wóz i tak zmarniałem do ostatka.

Młynarz: A cóż teraz wysiedzicie pod chałupą, choćbyście tak cały dzień myśleli, to nic nie wymyślicie, weźcie się do pracy. W lesie drzewo spuszczają, w górze kamień łamią.

Bartek: Ej! gdzie ja tam podołam takiej ciężkiej robocie, mój młynarzu, nigdy na świecie.

Młynarz: A coście to chorzy, czy kaleka?

Bartek: Tak wam się to zdaje, wy się obłykacie tego stochmalu z młyna, a jak namielecie, to wam baba upiecze, a ja nie mam i ziarnka, to z czegoż mi będzie piekła?

Młynarz: Ja wam pożyczę ziarna, a odrobicie mi z łopatą przy Jazie, bo trzeba wodę przytrzymać.

Bartek: Bóg wam zapłać młynarzu, ale nie pójdę bo nie mam czasu, moja wyszła, a nie ma kogo zostawić przy chałupie.

Młynarz: Nie macie czasu, a nic nie robicie.

Bartek: Oj narobiłem ja się dosyć, narobiłem mój młynarzu, za nieboszczyka ojca.

Młynarz: Kiedy tak to bywajcie zdrowi, poszukam sobie innego do roboty.

Bartek: Szukajcie, szukajcie i jabym toż poszedł, żeby dobrze zapłacili, mocny Boże, upracuje się też człowiek przez cały dzień, a jak przyjdzie wieczór, to nie ma co do gęby włożyć.

II.

Bartek siedzi wciąż przed domem, wójt przychodzi.

Wójt: Pókiż ja będę chodził do was Bartłomieju o ten podatek?

Bartek: Albo ja was proszę wójcie, żebyści do mnie chodzili?

Wójt: Ja tu do was nie przychodzę z ochoty tylko z nakazu.

Bartek: Niechże tam, ale cóż kiedy nic nie wychodzicie.

Wójt: Wychodzę ja, wychodzę jak was sprzedam ze wszystkiem.

Bartek: To tam sprzedajcie, cóż mi sprzedacie, chyba te dzieci.

Wójt: Ja się nie pytam, tylko zajmę co każą. Zmarnowaliście majątek, nie chciało wam się robić, a teraz pójdziecie z torbą na dziady.

Bartek: Oj! pójdę, mój wójcie, pójdę!

Wójt: A cożeście z łąki zrobili, będziecie ją siec tego roku?

Bartek: I cóż będę siekł, kiedym ją sprzedał na pięć łat z potrawem.

Wójt: Toście wy już zgałganieli Bartłomieju na prawdę.

Bartek: A no prawdę mówicie wójcie. Czy to człowiek ma dziewkę, albo parobka żeby zarobili? jakże sobie dać radę?

Wójt: Cóż wam po czeladzi, kiedy was pięcioro w chałupie.

Bartek: I cóż z tego, kiedy nie podołamy robocie.

Wójt: Oj próżniaki, próżniaki; inny na waszej roli jadłby chleb i jeszcze drugiego pożywił; choćbyście na dwa dni poszli na gościniec utłuc kamienia, tobyście podatek zapłacili, a tak to was muszę egzekwować, bo gromada za was płacić nie będzie.

Bartek: Poczekajcież, mój wójcie choć do soboty, może mi we dworze pożyczą na odrobek.

Wójt: Albo was to nie znają we dworze jakiście pracownik, wątpię żebyście odrobili.

Bartek: Choćbym nie odrobił, to tam na panu tych kilku złotych znać nie będzie.

III.

We dworze.

Dziedzic: Cóż mi powiecie Bartłomieju?

Bartek: Przyszedłem się dowiedzieć czy też u pana nie ma jakiej roboty, u stawu albo u kamieni, albo dach pobijać, a gdyby potrzeba było to sągi stawiać.

Dziedzic: Roboty jest dosyć, ale z was lichy robotnik Bartłomieju.

Bartek: Ej! gdzie tam, to tylko mię ludzie tak ogadali, a z czegożbym ja żył, gdybym nie pracował. Nie ma tu całej wsi chłopa, coby się napracował tyle co ja.

Dziedzic: Kiedy ja was sam doświadczyłem.

Bartek: Ej, to tylko ten raziczek, com sobie kościska sprostował, a wielmożny pan obces nadszedł i tak się zrobiło.

Dziedzic: A pamiętacie przy kuźni?

Bartek: Oj! pamiętam, ale mię wtedy taka kolka wzięła, że myślałem, iż skończę na miejscu.

Dziedzic: Mój Bartłomieju nie bardzobym was rad brać do roboty, bo wiem żeście leniwy, ale kiedy koniecznie chcecie robić, to idźcie dach pobijać.

Bartek: Poszedłbym, ale nie mam czem bić, bom siekierkę na chleb sprzedał. Gdyby to była łaska pańska pożyczyć mi z reńskiego, tobym kupił siekierę u młynarza, bo ma dwie i jednęby sprzedał.

Dziedzic: Mam ja tu dość siekier, to wam pożyczę.

Bartek: Dobreby i tak było, ale ta siekierka młynarska, to taka jęta, że aż furczy w ręku, a chce za nią reński, bez sześciu gr.

Dziedzic: Żebym wiedział, że przyjdziecie pobijać, to mniejsza o ten reński.

Bartek: O jakżebym nie przyszedł, przecież zdałoby się zarobić, z tego tylko człek żyje.

Dziedzic: Przecież macie piękny szmat pola.

Bartek: Jestci tam jest, ale nie chce rodzić, ledwie że się ten siew wróci, a co się człek napracuje z babą i dziećmi. Mocny Boże!

Dziedzic: No macie reński, ale przyjdźcież jutro.

Bartek: Dziękuję wielmożnemu panu, ale miałem też jeszcze coś powiedzieć, tylko że nie śmiem.

Dziedzic: No mówcie!

Bartek: Oto tak. Wziąłbym cały dach do pobicia i taniejby wyszło, bo bym wziął do siebie drugiego, to pobilibyśmy wszystko za tydzień, po 4 grajcary od kopy.

Dziedzic: Ba, gdybyście to dotrzymali.

Bartek: Oj, czym to nie tutejszy, albo mię to pan nie ma w ręku?

Dziedzic: A dla czegoż chcecie bić taniej jak wam daję?

Bartek: Bobym rad od razu wziąć za całą robotę; ale że nie ma w chałupie ani ziarnka, com miał tom sprzedał na podatek, bratu też spłaciłem dwadzieścia dukatów i tak się człek wyterał. Gdyby mi to wielmożmy pan pożyczył choć ze 6 reńskich, tobyśmy we dwóch za trzy dni odrobili.

Dziedzic: Tego nie mogę zrobić mój Bartłomieju, bo to najgorzej z góry płacić gdyż potem robicie jak z łaski.

Bartek: Może tam i kto robi jak z łaski, ale nie ja. Przecież wiem, że każdego szkoda, a cóż dopiero pana, co takiego drugiego nie ma na dziesięć mil.

Dziedzic: A jak myślicie, kiedyby się pobijanie skończyło?

Bartek: Ej i tygodnia nie zabawi.

Dziedzic: Choćbyście i dziesięć dni pobijali, to i tak będę kontent, a będzie dobrze?

Bartek: Co nie ma być, takiej stodoły nie ma w całej okolicy. Oj już też to wielmożny pan funduje, żaden tu dziedzic tego nie robił; poszukać takiego porządnego pana.

Dziedzic: Mój poczciwy Bartłomieju, proszę was tylko żebyście porządnie zrobili, coby nie zaciekało. No macie 6 reńskich, a przyjdziecie jutro.

Bartek: Ho! jeszcze pan będzie spał, a my już będziemy tłuc się na dachu: żebym tylko jakiego szwarnego chłopa znalazł, bo się porozłazili za robotą do kolei. Zrobimy tak że nas wielmożny pan pochwali.

Dziedzic: Idźcież z Bogiem, a przychodźcie o świcie.

IV.

W karczmie.

Bartek: Dawajcie półkwaterek wódki!

Arendarz: Nie ma dla was wódki, zapłaćcie coście winni.

Bartek: A cóż ja wam winien?

Arendarz: Winniście 3 reńskie i gr. dwadzieścia, coście dawniej napili.

Bartek: Nie prawda, bom winien tylko reński.

Arendarz: Jakto reński, a pamiętacie jakeście napili z kumotrem na półtora, a potem jak zastawiliście łąkę, toście napili za jeden, a różnemi czasami to znowu pół i gr. dwanaście.

Bartek: Nie prawda, nie napiłem, a choćbym napił, to dajecie taką wódkę jak maślanka, jeno tyle że wódką śmierdzi, ale ostrości nie ma. Chcecie to wam dam za cały dług 2 reńskie, a nie to pójdę pić gdzie indziej.

Arendarz: Dajcie tymczasem 2 reńskie, i nie gniewajcie się. A skądże macie tyle pieniędzy, czyście rolę sprzedali?

Bartek: Jeszcze dokupię roli i jutro będę sadził ziemniaki.

Arendarz: A może wam zostanie jaki zagon z nawozem, to ja z wami zasadzę.

Bartek: Dużobyście chcieli i pieniędzy i zagonów.

Arendarz: Ja nie chcę za darmo, ja od was odkupię, dam wam za te ośm zagonów, co koło młyna 5 reńskich.

Bartek: Nie gadajcie głupstwa, bo bym wam i za dziesięć reńskich nie puścił.

Arendarz: Napijcie się jeszcze pół kwaterek. Tak. No, to ja wam dam 6 reńskich i pół kwarty wódki.

Bartek: Jak mi dopłacicie 7 reńskich, do tego com wam winien i dacie pół garnca wódki, to będzie zgoda.

Arendarz: Niech będzie półszosta i kwarta wódki, ale wam zapłacę jak zbiorę.

Bartek: Głupiś, ktoby ci tam czekał. No zapisz sobie te dwa półkwaterki, com wypił, i koniec.

Arendarz: Ty gałgan zapłać mi zaraz!

Bartek: Cicho, bo bym cię zamalował. Dawaj jeszcze pół kwaterek.

Arendarz: Nie dam nic takiemu oszukańcowi.

Bartek: Dawaj, bo płacę.

Arendarz: Jak to ma być? ani roli, ani pieniędzy! Zapłać mi zaraz tamte 3 reńskie i gr. dwadzieścia — i ośm gr. za te dwa półkwaterki!

Bartek: Nie dam nic!...

Polowy (wchodzi): Co wy sobie myślicie Bartku? mieliście przyjść o świcie do pobijania dachu, a to już blisko południe, a was nie widać.

Bartek: Cożbym sobie myślał, nic nie myślę.

Polowy: Ale pan się na was okrutnie gniewa, żeście go zarwali, a nie przychodzicie.

Bartek: Niechże się tam gniewa. Ja tej robocie nie podołam, bo nikt nie chce bić po 4 grajcary, a ja też sam nie pójdę, bo co prawda nawet siekierki nie mam.

Polowy: Przecieście wzięli na siekierkę i na odrobek, to oddajcie pieniądze.

Bartek: Zkądże ich wezmę, kiedy już nie ma. Powiedzcie, żeście mię nie zastali w chałupie.

Polowy: Uwierzy to pan, kiedy was widział? pójdźcież aby na dzień do tej roboty.

Bartek: Nie będę tam pobijał za darmo.

Polowy: Jakto za darmo, kiedy wam naprzód dziedzic zapłacił?

Bartek: Niechże tam zapłacił, to już drugi raz nie zapłaci, a człek się też napracuje i narobi.

Polowy: A kiedy wy nic nie robicie.

Bartek: Nie robię? mocny Boże, przecie trzeba pilnować chałupy, żeby kto nie wlazł a nie pokradł.

Polowy: I tu w karczmie pilnujecie?

Bartek: Przecie muszę się trochę skrzepić tą wódką, bom bardzo słaby.

Polowy: Baba może chałupy pilnować, a nie wy.

Bartek: Co tam z baby, mocny Boże! wiele ci tam z tej baby przyjdzie, jeno tyle że obiad nastroi.

Polowy: A dzieci? macie ich przecie troje.

Bartek: I z dzieci nie wielka obrada.

Polowy: Ej nie żartujcie Bartku bo się dowojujecie. Pójdźcie do dworu.

Bartek: Nie pójdę, nie spuszczajcie się na mnie; niech tam kto inny na tym dachu zarobi, ja nie łakomy.

Polowy: To przyjdźcież, aby sprawić się, co będzie z temi pieniądzmi coście wzięli.

Bartek: Nigdzie nie pójdę, bo sam nie mam żadnego interesu do dworu.

V.

Organista u Bartka.

Organista: A cóż to, to ja będę za wami po chałupach kartki do spowiedzi nosił, czyście to poganin, albo filistyn jaki, żeście dotąd nie byli u jegomości na wielkanoc.

Bartek: A ma to człowiek czas chodzić albo i pochwalić Pana Boga. Człowiek się napracuje to tam i o wszystkiem zapomnie.

Organista: Napracuje! napracuje! oj nie grzesz też Bartku, bo tu na dziesięć wsi wkoło takiego próżniaka jako wy nie ma. Ale ja wam powiadam, że jak nie pójdziecie przed niedzielą, to was jegomość z ambony przeczyta.

Bartek: Pójdę ja tam pójdę, jak się trochę co większe roboty przewalą.

Organista: A pamiętajcie też Bartku o moim długu?

Bartek: O jakimże, przecieście mi nic nie dali.

Organista: Jużeśto zapomniał człowiecze, że mi się jeszcze zostało za pogrzeb waszego nieboszczyka ojca.

Bartek: Mocny Boże, a z czegoż ja to jeszcze mam wam za pogrzeb płacić. Nie wysłużyłem ja się to nieboszczykowi ojcu. Wiadomo wszystkim com ja się to narobił od jednej świętej niedzieli do drugiej. Wyście tam panie organisto z ojcem pijali, ale ja tom tylko robił po całych dniach.

Organista: Mielibyście na sumieniu, gdybyście duchowną osobę skrzywdzili. Nie dosyć coście zarwali jegomości, nawet snopków nie dajecie, a jeszczebyście organiście zaprzeczali. Nie róbcie zaś tego Bartłomieju, bo to się nie godzi zarwać kościelnego.

Bartek: Ej, jabym wam już dawno zapłacił, żeby mi pan oddał co mi winien, ale cóż kiedy nie chce płacić.

Organista: A dużo wam się to należy we dworze?

Bartek: Oj dużo, dużo mój organisto, będzie może 5 reńskich, a może i więcej. Oj żebyście mi pożyczyli z reńskiego organisto, to bym wam za pogrzeb darował wszystkie te pieniądze co mam u pana.

Organista: Dałbym wam z duszy, ale nie mam bo i mnie też ludzie nie oddają. Ale może macie jeszcze co szczepków w sadzie, tobyśmy się pogodzili inaczej.

Bartek: Ho, ho, jest tego pełniusieńki sad, co nieboszczyk ojciec zaszczepili, choćby wszystkie to wam spuszczę byleście sobie wykopali. Dajcie mi za wszystkie pięć reńskich i wykarczujcie sobie ile chcecie.

Organista: Dam wam za nie trzy reńskie, ale sobie kopcie, a jak za moje ma najemnik kopać, to wam dam jeno reńskiego i pokwituję was z pogrzebu.

Bartek: To już dajcie tego reńskiego, byleście sobie wykopali, bo ja nie mam czasu, gdyż się człowiek dosyć przez cały dzien narobi. Oj mocny Boże! narobi się, aż kości nie czuję.

Organista: No macie reńskiego, a ja idę po chłopa, żeby szczepki wykopał.

Bartek: Idźcie z Panem Jezusem mój organisto, bo ja nie mam czasu.

VI.

Bartek w chałupie.

Bartek: Siedzicie wszystkie baby na kupie, a żadna z was nie pójdzie na zarobek, tylko na mnie patrzycie; a człowiek nie ma łyżki strawy, żeby się pokrzepić, jak się napracuje.

Bartkowa: Sami zabraniacie chodzić na zarobek a teraz swarzycie.

Bartek: Albo to prawda że zabraniam; kiedy widzicie że nie ma co jeść, toście powinny iść a nie pytać się mnie o to.

Bartkowa: A wy to nie możecie iść na zarobek, czy to baby mają na was zarabiać?

Bartek: Nie gębuj boby ci się co zreszty oberwało. Nie gębuj, ale mi naczyń jeść.

Bartkowa: A z czegoż wam to naczynię, kiedy w chałupie nic nie ma.

Bartek: A nie mogłybyście się to próżniaki postarać. Idźcie mi zaraz zastawić szmaty i przynieść kaszy, bo jak wezmę kija, to was wszystkie z chałupy powypędzam. Zośka! zapal zaraz na kominie.

Zośka: Czemże zapalę kiedy nie ma ani patyczka.

Bartek: To idź do kowalowego płotu i ułam paliwa.

Zośka: Ej kiedy się boję, bo jak mię kowal uchwyci, to mnie zbije.

Bartek: To skocz do dworskiego ogrodu i wyrwij parę tyczek od grochu.

Zośka: Ej tatusiu, a jakby mnie kto uwidział, a potem to straszny grzech.

Bartek: Ruszaj mi zaraz, bo ja cię tu uśmiercę, ty nieusłuchany bębnie.

W przyszłym numerze dopowiemy wam, co się dalej stało z leniwym Bartkiem i jaki mu był smutny koniec.

RÓŻNOŚCI.

Sumienie. Jak to sumienie gryzie człowieka za czyn zbrodniczy, to się najlepiej pokazało nie dawno temu na jednym wieśniaku z pod Gródka. Jan Werbun z Porzycza popełnił był razem z innym wieśniakiem kradzież. Spólnika złapano i oddano do kryminału — a Werbunowi nic nie było, bo go jego spólnik nie wydał. Otóż ów spólnik umarł w kryminale. Zdawało by się komu, że Jan Werbun teraz dopiero będzie spokojny i pewny, że się jego sprawka nie wyda, bo jego spólnik już umarł — a tu tymczasem inaczej się stało. Oto widzicie sumienie tak okrutnie zaczęło dręczyć tego Werbuna, że choć już od tego czasu kilka lat minęło, jak on tę kradzież popełnił — przecież nie mógł wytrzymać i sam się stawił do sądu i prosił o ukaranie. Sąd skazał go na trzy miesiące więzienia — a Werbun z skruchą przyjął ten wyrok. Widać, że się poprawi, kiedy jeszcze nie zatracił sumienia.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.